

rami chodzą swobodnie całe masy ludzi, których zboczenia psychiczne inaczej się tylko objawiają, niż u moich chorych! Czyż wyobrażasz sobie, że Joe Duncan jest człowiekiem zdrowym na umyśle?

— Cóż znowu!

— Oznaki choroby są u niego bardzo widoczne. Nie widziałeś go jeszcze w przystępie jego strasznych gniewów, nie wiesz też, co to jest onirizm.

— Żartujesz chyba ze mnie — odparłem — wzruszając ramionami.

William dotknięty widocznie mem niedowierzaniem, posunął jeszcze dalej swe twierdzenie.

— Wybaczysz mi, Jonatanie, że chociaż kocham cię bardzo, powiem ci jednak, że jesteś euforykiem, że twój udany i niepowściągliwy optymizm jest objawem egzaltowanego twego stanu... To ciągle zadowolenie ze wszystkiego, co jest...

— Euforyk!... Euforyk!... To wspaniałe! — śmiałem się. — A Joe, król papierowy, czym jest... jak go nazwałeś?

— Mitoman!.. człowiek, który przez nawyk do kłamania, tak kłamie, iż nie wie nawet o tem i tak gruntownie przeinacza fakty, iż nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Mój drogi — odparłem poważnie — za grosz nawet nie jestem uczony, zdaje mi się jednak, że jesteś zbyt gorliwym wyznawcą teorii Lombrosa i przez to dopuszczasz się błędów!

W gruncie rzeczy sądziłem tak:

— Euforyk — to Joe Duncan, mytomanem zaś to z pewnością ja jestem.

Rozmowa przyjęła dla mnie zbyt korzystny obrót, bym miał nie skorzystać z tego i nie zaspokoić swej przekłetej ciekawości. Po chwilowym milczeniu odezwałem się znowu.

— A Z...? ten dziwny Z..., którego jeszcze nie widziałem?

— Och! ten zadał mi nie mało trudu... Z początku okazywał się najzwyklejszym symulantem... Teraz jestem już pewny co do niego... Daje się obserwować u niego bardzo rzadki wypadek... zboczenie jego rozwinęło się na podstawie histeryo-epilepsji. Jest to bardzo, bardzo ciekawe!... Jest to jednym słowem zakochany!

To tak proste, a w tych okolicznościach niezwykle określenie wywołało we mnie nowy wybuch śmiechu.

— Czy chcesz go widzieć? — zaproponował William.

— Chętnie. Nie jestem Marcadianem ani twoją narzeczoną i nie sądzę, by...

— By było tu coś niezrozumiałego, zwłaszcza, iż osobą swą nie wzbudza on żadnego wstępu. Jest to melancholik i nie ma w sobie nic śmiesznego... Chodź, Jonatanie. Mieszka on na drugiej galeryi, w celi nr. 13.

Poszedłem za Williamem; ciekawość moja dochodziła do ostatnich granic. Idąc, pytałem go:

— Lecz skąd powstała ta nazwa Z...?

— Ach! — odrzekł William — jest to cała historia! Opowiem Ci ją... ale tylko tobie. W gruncie rzeczy, postępuję nieprawie, gdyż nie powinienem go trzymać w swej klinice.

Nie starałem się narazie domyślać znaczenia tajemniczych słów lekarza. On zaś nie spieszył się z wyjaśnieniem mi ich.

Przeszliśmy przez ogród i wstąpili do kwadratowego budynku, który zamieszkiwali chorzy... Po drodze wyminęliśmy jednego z dozorców zakładu. Podeszedł on do Williama i oznajmił:

— Panie doktorze... trzynasty... Z... miał teraz straszny atak.

— Atak?

— Tak, zaraz po wyjściu tych gości. Z początku chcieliśmy założyć mu kaftan... Ta bestya ugryzł mnie w rękę... Zastrzyknęliśmy mu dwie dawki morfiny.

— A teraz jest już spokojny?

— Uspokoił się zupełnie... Płacze.

— To dziwne! bardzo dziwne! — szeptał William coraz bardziej tem przejęty.

Przybyliśmy przed celę numer 13.

— Poczekaj chwilę — prosił mnie William.

...Nigdy nie można im dowierzać... Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo!

Stałem przy ścianie w korytarzu, podczas gdy lekarz otwierał drzwi do celi...

Usłyszałem, jak William zaczął ostrym głosem rozmowę:

— Cóż to znowu! cóż to znaczą te wszystkie błazeństwa?... Miałem zamiar pozwolić panu po tygodniu na spacer po parku, a pan gryzie dozorcę!... Wstyd! hańba!... żałuję, że byłem dla pana tak dobry... Jeżeli to się jeszcze raz powtórzy, wydalę pana z mego zakładu!

Zamiast odpowiedzi chorego, dochodziło mnie tylko jakieś niewyraźne jęczenie, które jednak musiało być poparte niemymi prośbami, gdyż William zaczął znowu.

— Tak... tak! teraz całować mi ręce! Błagać bym pana zostawił... Tak... Nie dam się oszukiwać i przy pierwszym wybryku, powtarzam panu...

William wychylił głowę z pokoju i zawołał:

— Master Brentano, proszę się zbliżyć! Oto



Rzuciłem okiem do malej, kwadratowej celi, skromnie umeblowanej.

mój najnieposłusznieszy i najniewdzięcznieszy ze wszystkich mych chorych.

Zrobiłem dwa kroki w stronę drzwi... Lekarz usunął mi się na progu... Rzuciłem okiem do malej kwadratowej celi skromnie umeblowanej... Na niskim łóżku siedział z bezwładnie opuszczonymi nogami i z krzyżowanymi rękami młody człowiek o tępym wyrazie twarzy... Miał na sobie pluszowe ubranie, jakie noszą robotnicy... Długie włosy i zapuszczona w nieładzie broda wywoływały nieprzyjemne wrażenie... Podniósł oczy na mnie i przyjrzał mi się uważnie... Nie opuściłem swego wzroku, nie dągnąłem, choć rozpoznałem teraz w tym tajemniczym Z... mego syna Polidora, zabójcę swej matki, mordercę Gabryeli, mej ukochanej żony!

## IX.

Gdy rozległ się głos dzwonu na znak, że podają do stołu, zszedłem do pokoju jadalnego. Oczekiwał mnie już tu William, lecz z miną tak przejętą, z twarzą tak zamyśloną, iż zdawał się głęboko nad czemś zastanawiać... Ubrany był w strój wieczorowy... Przy kłapie fraka miał przypiętą białą kamelię... Przeprosił mnie:

— Mało mam czasu... idę na wieczór... przy stole pozostanę bardzo krótko!

Postanowiłem też skorzystać z tych kilku chwil, jakie miałem dzisiaj z nim spędzić i dowiedzieć się, w jaki sposób syn mój znalazł się w jego zakładzie... Mimo, iż podobne odkrycie mogło mnie zmieszać, panowałem jednak nad sobą i niczem nie zdradziłem się ze swymi uczuciami.

— A więc — rzekłem zaraz po zupie — uważasz tego chorego za niezwykle okaz?

— Za bardzo niezwykle.

— To nie jest pacjent płacący?

— Zupełnie nie. Żałuję nawet, że go przyjął...

— Z powodu nieprzyjemności, jakich możesz nabawić się przez niego, jak mi to mówiłeś? Cóż za nieprzyjemności mogą cię spotkać?

— Co za nieprzyjemności — powtórzył William. —

Nie wiem, z kim mam do czynienia. Według przepisów winienem być go odesłać do św. Anny.

— Lecz w jakich okolicznościach zjawił się u ciebie?

— W okolicznościach, które mnie zaraz wtedy

zaintrygowały, a które dzisiaj intrygują mnie jeszcze bardziej. Pamiętam dobrze ten dzień, gdy znalazł się on przed drzwiami mej kliniki. Było to nazajutrz po zniknięciu Łucyi Weill, a w dzień, kiedy się udał do Marcadiana, by zajął się moją sprawą.

Zwróciło to moją uwagę... Żona moja, Gabryela, została zamordowana 6 września. Wieczorem tegoż dnia poznałem w gabinecie szwagra, króla papierowego. Następnego dnia, t. j. 7. William udał się w swej sprawie do adwokata. A więc pierwszego zaraz dnia po zbrodni Polidor przyszedł do kliniki Williama. Jakież jednak tajemne powody skłoniły go do tego? Dlaczego William przyjął go wbrew prawu? To było dla mnie niepojęte!... Starałem się otrzymać jakieś wytłumaczenie tego i rzeczywiście William wyjaśnił mi pobudki, jakimi się kierował.

— Wracając wieczorem od Marcadiana przejęty myślami o swych nowych kłopotach, gdy naraz oznajmiono mi w domu, że jakiś młody człowiek oczekuje mnie w poczekalni... Przedstawił mi się w następujący sposób:

„Ja wiem, że pan jest doktor William Duncan, ale nie wiem, kim ja jestem... Nie wiem również, czy jestem waryatem, o tem tylko jestem przekonany, iż stanę się nim, jeżeli mnie pan nie ocali. Chodzi tu o kobietę!... Nie wiem, jak się nazywa... Nazywa się... ale to jest waryactwem przypominać sobie nazwisko, którego nie znam... a kocham ją tak, jak nie można kochać... Och! ja nie chcę pana oszukiwać... kobieta ta zapłaci za mnie później... muszę pana przestrzedz, tak nakazuje uczciwość... przyszedłem tutaj z zamiarem zabicia pana. Jest to

spór, który będziemy musieli potem zakończyć”.

Przyjrzałem mu się bacznie i zauważyłem, że ma na sobie nowe ubranie, nie robione jednak na swą figurę... Przytem ręce miał zbyt białe jak na robotnika... W głosie jego dosłyszałem nuty pewnego wahania się i wątpliwości; uznałem, iż mam do czynienia z symulantem... Pierwszym moim zamiarem było pozbyć się go i odprawić do komisaryatu, skąd odesłano by go do szpitala... Było jednak już późno... Podałem się jakimś uczuciu litości i postanowiłem dać mu schronienie na noc, a nazajutrz pozbyć się go... Kazałem go zrewidować, nie znaleziono jednak przy nim najmniejszej wskazówki, któraby pozwoliła stwierdzić choć w przybliżeniu, kim on jest. Ubranie jego jak i bielizna były zupełnie nowe i nie miały żadnego znaku kupca lub krawca... potwierdziło to me podejrzenie go o symulację.

— A następnego dnia? — zapytałem obojętnym tonem.

— Następnego dnia zatrzymałem go u siebie...

— Dlaczego?

(Ciąg dalszy nastąpi).